

JERZY MILEWSKI

2

**GABLE RÓWNA**

## Paragraf i życie

Znów teatr? No tak. W poniedziałek 21 sierpnia 1967 r. Telewizjowicze polscy

mogli podziwiać przeniesienie przedstawienia Teatru Kameralnego z Warszawy. „Hedda Gabler” Henryka Ibsena. Znam tekst tej sztuki prawie na pamięć, widziałem ją na deskach teatralnych — to samo właśnie przedstawienie wyreżyserowane przez Marię Wiercińską z Zofią Petri, Bronisławem Pawlikiem i Stanisławem Jasiukiewiczem w rolach głównych.

Tak na marginesie, zupełnie na marginesie: jakie wrażenie odnosi widz, który to samo przedstawienie raz widzi w prawdziwym teatrze, a drugi raz w okienku telewizora? W jakim stosunku pozostają do siebie te dwa doznania?

Otóż myślę, że jest tak: jeśli chodzi o treść sztuki, o dialog, o zawartość myślową — to chyba Telewizja jest lepsza. Słowo wypada bardziej jako wypukłe, bardziej p r z y l e p i a się do ludzkiego mózgu. Ale ginie prawie całkowicie coś innego, coś bardzo cennego — plastyka przedstawienia. Do swojej towarzyski, która razem z mną wpatrywała się w okienko telewizora powiedziałam: „Ach, żałuj moja droga, że nie możesz zobaczyć tej złotej kreacji głównej bohaterki — Heddy Gabler, tych mebli, tego mikroklimatu, płynącego z dziesiątką zabiegów scenograficznych. Dekoracje, kolory, to coś nieuchwytnego, co się wiąże z łagodnym światłem reflektora. Zdawałoby się, że to są rzeczy drugorzędne, że najważniejsza jest treść, a jednak ta magia teatru...”

Relacjonuję to Państwu jako przyczynek do częstych rozważań na temat: czy Telewizja jest konkurentem teatru. Otóż analizując własne odczucia, porównując wrażenia z „oryginalnego” przedstawienia teatralnego i tego przetransponowanego w ramy telewizyjne, odpowiadam z całą stanowczością: pienne obawy!

Nie ma i nie może być mowy o tym, iżby cokolwiek mogło serlo zagrozić istnieniu teatru. Porównanie, które za chwilę przeczytaacie jest może przesadne. Ale tkwi w nim mocny kawałek prawdy. Otóż myślę, że żadne przetransponowanie telewizyjne teatru nie zastąpi teatru tak, jak fotografia drogiej i bliskiej osoby nie zastąpi nigdy jej obecności.

Ale zatrzymajmy się na chwilę przy samej sztuce. Jej fabuła jest prosta: ot takie sobie sceny, drobne sceny z życia mieszczańskiego. Ale spróbujcie opowiedzieć... Są takie życiowe, proste historie, które można by zdawałoby się, zamknąć w kilku zdaniach; gdy to jednak czynicie, dzieje się tak, jakby kto wodę chciał zatrzymać w garści: próżny trud, przecieka przez palce.

Rezygnując więc z fabuły, spróbuję zatrzymać

się tylko na postaci bohaterki. To zło — zimne i wyrafinowane. A rzecz ciekawa — Igną do niej wsiączy. Ciągnie do siebie jak lampą, przyciągająca ćmy, spalające się w jej ogniu.

Ludzie popełniają przestępstwa, wykroczenia, czyny niemoralne i nieobyczajne. Dlaczego to robią? Znaczna część tzw. klasycznej przestępczości wynikała z dawnych kapitalistycznych warunków ustrojowych: bezrobotny, który szedł kraść, a nawet zabijać, aby nie patrzeć na głodową śmierć swojej rodziny. To znikło prawie zupełnie w naszych czasach wraz ze zmianą ustroju. Znaczna część dzisiejszej przestępczości też się wiąże z kapitalizmem, choć kapitalizmu dawno już w naszym życiu ustrojowym nie ma. Nie ma kapitalizmu, ale zostały drobnomieszczańskie ideały i wartości życiowe: potrzeba owego luksusu, błyszczenia po knajpach, obwożenia kosztownymi samochodami kosztownych przyjaciółek.

Myślę, że tu właśnie tkwi poważna siła napędowa współczesnej przestępczości i dziwię się nie raz, że tak dużo się mówi o potrzebie walki z przestępczością, a tak mało się robi dla przesporadku znaku kołtuńskiego drobnomieszczaństwa. Jednym z elementów przestępczości — bardzo powzięcia dawnych ideałów, wzorców i wartości ważnym — jest alkoholizm, są różne zбочenia psychopatologiczne, które nie sprawiają tego, że człowiek jest wariatem, ale wystarczą, aby życie z nim było nie do zniesienia.

No tak, to są wszystko czynniki wywołujące przestępczość. Jedne już zostały usunięte, inne są w trakcie szybszego czy wolniejszego usuwania; jak będzie z innymi — takimi jak alkoholizm, jak różne psychonerwice i psychopatologie — trudno powiedzieć.

Ale na dnie tego wszystkiego jest jeszcze coś.

Brzmi to tajemniczo, troszkę scholastycznie, troszkę metafizycznie. Ale to fakt, a nie teoria. Jest w człowieku jakaś fascynacja ziemi. Spójrzcie na dzieci, jak obdzierają motyla ze skrzydeł. Parę dni temu na pewnym podwórku pewien wyrostek, przy ogromnym wysiłku i ryzyku, powybijał szyby w stojącym na podwórzu samochodzie osobowym. Jaka korzyść z tego ryzyka i wysiłku? Żadna. A przysłuchajcie się rozmowom dorosłych. Z jaką rozkoszą kłuje się „kochaną przyjaciółkę” czy „drogiego kolegę” już nie szpilką, ale prawdziwą końską szprycą w najczulsze miejsca nerwów i wyobraźni.

Czy mam dalej wyluszczać propozycje spojrzenia na to, co nas na co dzień otacza? Chyba to niepotrzebne, własne doświadczenie każdego z nas podpowie w ciągu sekundy znacznie więcej.

A więc: fascynacja ziemi... Cóż to znaczy? Jak przetłumaczyć to zjawisko na język jasnych formułek i definicji? Nie da się tego zrobić. Tego nie można wytłumaczyć, to trzeba...

To trzeba samemu zobaczyć. Stąd ogromne powodzenie sztuki Ibsena „Hedda Gabler”, powodzenie, które trwa już od sześćdziesięciu przeszło lat. Patrzymy na tę sztukę: jaka staroświecka. Podziwiamy przepiękne stroje: jakże muzealne. słuchamy dialogów: jakież niedzisiejsze. Śledzimy fabułę: jaka sztuczna.

A przecież wszystko razem jest takie, że przychodzimy do teatru chętnie, przyjmujemy z zapartym tchem, wychodzimy z zachwytem. W kostiumie z „la belle Epoque”, z Pięknej, Epoki, tak bowiem nazywano czasy, gdy nasze babki były młode — mówię oczywiście o babkach mojego pokolenia — jawi się nam bowiem dialektyka zła.

A cóż to za dialektyka? Bardzo prosta. Zło nie miałoby szans, zło byłoby bezsilne — gdyby nie posiadało pięknej, pociągającej powierzchowności. Taka jest właśnie Gablerówna w ujęciu Zofii Petri. Dawno nie widziałem w teatrze takiej roli, takiego — mówiąc po staroświecku, jak za czasów Henryka Ibsena — wzięcia, takiego kunsztu. Nie wiem, jak tam się rzeczy mają z punktu widzenia srogich specjalistycznych reguł teatralnych, jestem prawnikiem, a nie teatrologiem, mogę więc śmiało pisać, co widziałem i czułem, a nie to, co wypada i co uchodzi. Zresztą nie o rolę i nawet nie o teatr tutaj idzie.

Ponętność zła, zniewalający choć zimny blask, który z niego płynie, ma w sobie coś z narkotyku, który najpierw, musi odurzyć, zanim zgubi na zawsze. Wielka kultura moralna, znaczna siła charakteru, i duże doświadczenie życiowe jest potrzebne, aby wyzwolić się spod tego oszołomienia. Żeby bliżej rzeczy łatwych, powierzchownych umieć odróżnić od ich wewnętrznej treści, która nieraz bywa odrażająca. Jakby się chciało, aby znalazł się ktoś, kto by tej pięknej, tej z gestem, wyobraźnią, fantazją i charakterem Heddie Gabler dał do zrozumienia, że przeznaczeniem człowieka jest dobro, a nie zło, które zawsze kończy się tak, jak sztuka Henryka Ibsena: samobójczym, desperackim strzałem.